

Będziemy mieć całą wieczność

Wreszcie w 1945 roku wojna się skończyła. Niemcy opuścili Polskę, ale z drugiej strony wkroczyła inna armia – sowiecka. Zaczęły się grabieże i gwałty. Sklepy spożywcze, z ubraniami i obuwiem opustoszały w ciągu paru dni. Najbardziej poszukiwane były zegarki i wódka. Żołnierze sowieccy mieli prawdziwy bał!

Jedna władza odeszła, drugiej jeszcze nie było – czas bezprawia. Nie było komu się poskarżyć, ani u kogo szukać pomocy. Mieszkaliśmy na peryferiach miasta, tam było najgorzej. Pamiętam walenie do drzwi przed północą: „Odkrywaj!”. Wszyscy już spaliśmy. Ojciec wstaje i otwiera drzwi. Wchodzi dwóch sowieckich żołnierzy. Jakieś dzikie twarze o skośnych oczach. Pakują się wprost do pokoju, gdzie spałyśmy z siostrą...

Nie zanosilo się na lepsze życie. Rodzice postanowili wyjechać... Bez problemu dostaliśmy się za naszą zachodnią granicę... Oczywiście, nie mieliśmy zamiaru pozostać na rosyjskiej strefie. Dowiedzieliśmy się, że uciekinierzy (a my do nich się zaliczaliśmy), zapisywali się na wyjazd na strefę amerykańską. Tatuś poszedł więc zapisać naszą rodzinę. Nie wiem, czym kierowali się urzędnicy, że nas zapisali...

W Niemczech

Tak oto w 1946 roku znaleźliśmy się na terytorium amerykańskiej strefy w Niemczech, w przejściowym obozie dla przesiedleńców (DP – Displaced Persons). Życie jakby stanęło w miejscu, było oczekiwaniem. Chłopcy i dziewczęta z przymusowych robót wyczekiwali na możliwość powrotu do domu. Ci, co nie chcieli wracać pod sowiecką władzę albo od niej uciekli, czekali, by wyemigrować. Nikt nie wiedział, co jutro przyniesie. [...]

Ale ludzie wierzący potrafili wykorzystać czas. W obozie znalazło się sporo kaznodziejów z różnych stron Polski. Zorganizowali Biblijne Seminarium z systematycznym programem nauczania. Zorganizowano też polską szkołę, której kierownikiem był br. Iwanow, jeden z naszych kaznodziejów, a ja uczyłam polskiego, rachunków, historii i śpiewu. Były też kursy szycia oraz gotowania i oczywiście języka angielskiego. Inicjatorami i organizatorami byli zazwyczaj ludzie wierzący. A było ich w obozie bardzo wielu, zarówno z Polski, jak i ze Związku Radzieckiego. Mieliśmy wspaniałe nabożeństwa, licznie odwiedzane również przez niewierzących.

Kaznodziejów było nawet kilkunastu, włączając studentów Seminarium. Przemawiali po kolei. Mieliśmy dwa chóry....

Zaczął się nowy etap mojego życia. Na widowni pojawił się Paweł Bajko – czarny, długi, cienki jak patyk. „Ależ on się zaraz złamie na pół” – pomyślałam, gdy go pierwszy raz zobaczyłam. Nie przypuszczałam nawet, że to mnie przypadnie w udziale zadbać w przyszłości o niego.

Wyczekiwaliśmy na rozpoczęcie wreszcie normalnego życia. Ci, co chcieli wrócić do domu, już wrócili. Pozostali oczekiwali na emigrację. Niektórzy pracowali w administracji, inni w szkole, w obozowej kuchni. Inni uczyli się w szkołach. W naszym obozie była tylko szkoła powszechna, ale w innych były również szkoły średnie. Organizowaliśmy wycieczki i nabożeństwa w okolicznych wsiach. Grupy młodzieży rozchodziły się po wsiach, śpiewając i głosząc Słowo Boże. A wszystkie te wyprawy organizował Paweł Bajko. I tym właśnie mnie ujął. Wszędzie go było pełno, a ja nie przepuściłam żadnej okazji, by wziąć udział w tych misyjnych wyprawach. I tak jakoś przyłgnęliśmy do siebie...

Ale właściwie wszystko zaczęło się od siatkówki. Grali nie tylko studenci, ale i inni zapaleńcy. Oczywiście i mnie nie brakło na boisku. Kiedyś w szkole byłam w drużynie reprezentacyjnej siatkówki i siatkówka była moją pasją. I tak zapoznaliśmy się z Pawłem, najpierw na boisku siatkowym. Graliśmy zawsze po przeciwnych stronach. Paweł walił szczupaki i jakoś zawsze trafiał we mnie. Tłumaczył się, że wchodziłam mu pod rękę.

Studentów seminarium wysyłano na święta na praktykę do różnych obozów. Nie wszystkie obozy cieszyły się tak wielką liczbą kaznodziejów, jak nasz, więc chętnie witano tam naszych młodych braci. Pamiętam, jak z jednego z takich wyjazdów Paweł wrócił cały posiniaczony. Co się stało? Miał jechać na strefę amerykańską (nasz obóz był w strefie brytyjskiej). Pociągi już kursowały, ale stacje kolejowe były zbombardowane, więc poczekalnie były w podziemiach. Paweł, będąc w Hanowerze, zszedł na dół, otworzył Biblię i zaczął czytać. Biblia była oczywiście polska. Naokoło pełno ludzi, wśród nich grupa młodzieniaszków, spoglądających na Pawła i coś tam między sobą szepczących: „Pole, Pole...”. Nie podobało mu się to i postanowił wyjść na na peron. Ruszył po schodach, a oni za nim. Otoczyli go i zaczęli okładać pięściami. Paweł bronił się,

wywijając trzymaną w rękach teczką i walizką. Ludzie patrzyli, ale nikt nie próbował mu pomóc. Jakoś udało mu się wyrwać na peron, a tam była już policja i napastnicy się rozbiegli.

Mijały tygodnie i miesiące, aż wreszcie rozpoczęła się emigracja. Anglia pierwsza otworzyła drzwi dla emigrantów. Potrzebowali rąk do pracy, szczególnie w przemyśle włókienniczym. Ogłoszono, że niezamężne dziewczęta mogą się zgłaszać na wyjazd do Anglii. Większość ludzi czekała na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale parę dziewcząt z naszego obozu się zapisało, między nimi ja, moja siostra Kazia i jesz-



Adela i Paweł Bajko, rok 1951 i 2010

cze dwie wierzące dziewczyny. I teraz Paweł Bajko przemógł swoją nieśmiałość. Sympatyzowaliśmy ze sobą, ale dotąd żadne deklaracje jeszcze nie padły. Gdy dowiedział się, że zapisałam się na wyjazd do Anglii, widać się przestraszył, że mu zginę w dalekim świecie. Postanowił się oświadczyć. Potem mi opowiadał, że już parę razy zapędzał się pod dom, gdzie mieszkaliśmy, ale zawracał. Albo był nieśmiały, albo bardzo ostrożny. Wszak to na całe życie.

Przyszedł wieczorem, jak zresztą często to robił. I nie tylko on. W dwóch pokojach mieszkało nas cztery dziewczyny i mama jednej z nich. Nasz dom nazywano „klasztorem”, a chłopców, którzy nas odwiedzali – mnichami. Siedzieliśmy w ogrodzie. Często wałam go gruszkami. I nie wiem, czy pomogły gruszki, czy wypływający na gwiaździste niebo księżyc, ale tego wieczoru obiecał mi sobie spędzić życie razem. Jeszcze jako młoda dziewczyna zawsze mówiłam, że chcę wyjść za mąż za kaznodzieję. Mój wujek Mosalkow, który był kaznodzieją, ostrzegał, że życie z kaznodzieją nie będzie najłatwiejsze. I miał rację. Ale po przeżyciu prawie całego życia, nie zamieniłabym go na żadne inne. Zawsze czuliśmy, że jesteśmy „pod osłoną Najwyższego”.

Krótko potem wyjechałam do Anglii, a Paweł jeszcze prawie pięć lat tułał się po obozach. Ale bardzo dobrze wykorzystywał ten czas. Pracował jako ewangelista, głosząc po obozach radosną wieść o zbawieniu w Chrystusie.

W Anglii

Zatrudnili nas w fabryce tekstylnej na tkalni i przędzalni. Zaczął się trudny okres aklimatyzacji, a przede wszystkim nauki języka angielskiego. Zamieszkałyśmy z siostrą u pewnej wdowy, która miała córkę w naszym wieku. Tam miałyśmy dobrą okazję praktykowania angielskiego. [...]

W międzyczasie Anglia zaczęła przyjmować też mężczyzn. Wstąpiła we mnie nadzieja, że może Paweł i mój brat też wkrótce przyjadą. Ale dowiedziałyśmy się, że mężczyzn potrzebowano do robót w kopalni węgla, skąd nieprędko się wydostaną. Nie chcieliśmy, żeby mój narzeczony i brat tracili zdrowie w kopalni. Napisałam więc, by się nie zapisywali do Anglii, a czekali, aż Ameryka zacznie przyjmować emigrantów. Tak też zrobili. Zapisali się na wyjazd do Ameryki i wkrótce nasz brat Wiesiek znalazł się na tym kontynencie. Wylądował w Kanadzie i został przydzielony do grupy pomiarowców przy budowie tamy na Ottawie.



A Paweł ciągle czekał na wyjazd. Od Wieśka miałyśmy coraz lepsze wiadomości. Pracowali w jakiejś dziękowej miejscowości w Quebecu. Opisywał pierwszy ich tam posiłek. Stoły były tak obficie zastawione, że zdumieni myśleli, że to tak serdecznie witają ich w Kanadzie. Gdy jednak drugiego i trzeciego dnia posiłki były tak samo obfite i różnorodne, zrozumieli, że to normalny tryb życia. A w Anglii ciągle jeszcze były kartki żywnościowe.

W Kanadzie

Po piętnastu miesiącach w Anglii wyruszyłyśmy z siostrą do Kanady. Płynęłyśmy statkiem, a potem jeszcze dwa dni pociągiem przez dzikie, niezaludnione kanadyjskie tereny. Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia, gdy pociąg zatrzymał się i powiedziano nam, że to nasza stacja. Wsiadłyśmy. Styczeń 1949 roku. Naokoło białe i lasy jak okiem sięgnąć. Z małego stacyjnego budynekczku wyskakuje jakiś dzikus w grubej burce, z futrzaną kapucą na głowie. Indianin czy Eskimos? To Wiesiek, nasz brat!

Pracujemy w tymczasowym obozie w kafeterii jako kelnerki. Dobrze nam tu jest. Troje rodzeństwa już razem. Da Bóg, że i Paweł, i nasi rodzice też wkrótce przyjadą. Tak, dobrze nam tu. Praca lekka, jedzenie wyśmienite, gwarno i wesoło. Na około sześciuset pracujących tu młodych mężczyzn tylko dwadzieścia dziewcząt-kelnerek. Ależ miałyśmy powodzenie! Dwie dziewczyny w krótkim czasie wyszły za mąż. A na nas narzekali: „Pani to nawet nie da rączki potrzymać”. Chcieli się ze mną umawiać. A ja ciągle czekam na Pawła. A jego nie puszcza na emigrację komisja lekarska. Za wysokie ciśnienie. Nie nadaje się do pracy. Otrzymuję od niego list: „Dela, zapomnij o mnie. Ja jestem widać człowiekiem chorym. Komisja lekarska nie puszcza mnie do Kanady”... Na to ja mu odpisuję: „W takim razie ja wracam do Niemiec”. A czas mija. Przyjechali już nasi rodzice. Jaka radość! Rodzina jest w komplecie! „Jak wy wszyscy troje wyjechaliście do Ameryki, to byliśmy pewni, że was już nigdy nie zobaczymy” – wyznaje mama. Ale miłosierny Bóg zdarzył inaczej. Przyjechali i nawet doczekali się wnuków i prawnuków. „Pod osłoną Najwyższego...”.

Wreszcie razem

Budowa tamy zakończona. Wyjeżdżamy wszyscy do Toronto. Tu jest dużo wierzących. Dwa słowiańskie zbory – polski i rosyjsko-ukraiński. Włączamy się w życie zborowe – chór, młodzież. A Paweł ciągle w Niemczech. Aż wreszcie, po prawie pięciu latach rozłąki, wiadomość: „Amerykańska komisja dała mi zezwolenie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych”! I przyjechał. Z jedną walizką, której połowa to listy ode mnie, zbierane przez prawie pięć lat. Potem, po paru latach małżeństwa, urządziliśmy uroczyste ich palenie – i jego, i moich, bo i ja przechowałam wszystkie listy od niego.

Przyjechał, ale jeszcze się nie widzieliśmy. Paweł jest w szkole biblijnej Eastern Christian Institute w Orange w stanie New Jersey. Przyjedzie do mnie, do Toronto, na Wielkanoc. Nadchodzi Wielkanoc. Zwalniam się z pracy, by go spotkać na stacji kolejowej. Czekam. Ludzie zaczynają już wychodzić. Serce mi mocno bije. Po prawie pięciu latach znowu się zobaczymy! Jak się spotkamy? Czy się pocałujemy? Wyglądam go niecierpliwie. Tłum rzędzie. Gdzież on jest? Zamykają się drzwi. Pawła nie ma! Co się stało? Chce mi się płakać. Co powiem koleżankom w biurze? One tak przeżywały ze mną to nasze spotkanie po tak długiej rozłące! Nie, nie mogę wrócić do pracy. Jadę do domu. Podchodzę i widzę w oknie głowę z czarnymi włosami. Kto to? Tatuś siwy, a brat w pracy... Biegnę po schodach, a w drzwiach wita mnie Paweł. Wyszedł z peronu jakimś innym wyjściem i minęliśmy się.

To było w marcu 1951 roku, a w czerwcu pobraliśmy się. Wesele mieliśmy wspaniałe. Z druhnami i друзbami. Ja w białej sukni z długim welonem. Pojechaliśmy nawet na miesiąc miodowy, choć bardzo skromny.

Byliśmy razem dwa miesiące. A potem Paweł wrócił do Stanów, na uczelnię, a ja zostałam w Toronto, bo nie miałam jeszcze wizy. W maju 1952 roku urodziła się

nasza Iwonka. Paweł akurat zdawał egzaminy. Ze szpitala odebrał nas mój tatuś. Jak mu się broda trzęsła, gdy wziął swoją pierwszą wnuczkę na ręce! Płakał z radości. Paweł przyjechał do nas po tygodniu. Nigdy nie zapomnę, jak biegł po schodach po dwa, trzy stopnie, by zobaczyć swoją córkę!

Paweł ukończył studia w Instytucie i dostał się do Milligan College w stanie Tennessee. W międzyczasie ja dostałam wizę do Stanów Zjednoczonych i jesienią już razem pojechaliśmy na Pawła dalsze studia. [...]

Paweł studiował, ale było to możliwe tylko dzięki gorącym, szczerym sercom braci Amerykanów, którzy go finansowali. Pieniądzy nie miał żadnych. Musiałam mu kupić bilet kolejowy, żeby mógł przyjechać na nasz ślub. Nawet garnitur i obrączki ja kupiłam. „Kupiłaś mnie sobie” – żartował potem mój mąż. A gdy już zaczął pracować, też niewiele zarabiał. Gdy się urządzaliśmy, kupowaliśmy w Armii Zbawienia używane meble. Dzieci nosiły ubrania, ofiarowane nam przez znajomych po ich dzieciach. Ale to wszystko było drugorzędne. Byliśmy zdrowi, mieliśmy siebie, kochaliśmy się i zawsze byliśmy „pod osłoną Najwyższego”.

Zawierucha wojenna rzuciła nas za ocean, na inny kontynent. Obcy kraj, obcy ludzie i ich obyczaje, obcy język. Tęskniliśmy za Polską, szczególnie ja za Łodzią, i niecierpliwie wyglądaliśmy listów z kraju. Ale Bóg dał nam także tutaj dobre życie, dostatnie i urozmaicone. Dużo podróżowaliśmy. Paweł, pracując dla Misji, przejechał Amerykę wzdłuż i wszerz. Gdy dzieci dorosły, mogłam mu towarzyszyć w niektórych wyjazdach, na przykład na Alaskę i na Hawaje.

Ale jeździliśmy i dla przyjemności. Niektórzy spędzają urlopy na plaży, my woleliśmy podróżować i zwiedzać. Byliśmy w prawie wszystkich krajach Europy, Turcji, Grecji, Egipcie, Maroku, Izraelu i Chinach. I za to również jesteśmy Bogu wdzięczni.

Gdy patrzę wstecz na nasze życie, dziękuję Bogu z całego serca za ogrom Jego błogosławieństw. Tyle radości, tyle miłości, tyle szczęścia! Bóg był z nami na każdym kroku. Bóg obiecał: „Nie porzucę cię, ani cię nie opuszczę” (Hbr 13:5). I On nas nigdy nie opuścił. Całe nasze długie życie prowadził, przeprowadzał przez trudności i wyprowadzał z nich. Obiecał: „Pozostanę ten sam aż do waszej starości i aż do lat sędziwych będę was nosił...” (Iz 46:4a). I tak jak obiecał, całe nasze długie życie – przeszło dziewięćdziesiąt lat „nosił, dźwigał i ratował” (Iz 46:4b).

Jakże wspaniałego Boga mamy! Nasz słaby ludzki język nie jest w stanie wyrazić Mu naszej wdzięczności. Całe szczęście, że będziemy mieć całą wieczność, by Mu dziękować i wielbić Go, wielbić bez końca.

ADELA BAJKO

Bel Air
marzec 2013 r.

[Fragment z: Adela Bajko, *Pod osłoną Najwyższego. Wspomnienia*, Chrześcijański Instytut Biblijny, Warszawa 2013. Wybór i oprac. N.H.]